



MEANDER

ROK LXXXVII 2022: s. 233–242
ISSN 0025-6285
DOI: 10.24425/meander.2022.142263

ANNA WOŁOSIAK-TOMASZEWSKA
e-mail: a.wolosiak@gmail.com
Gdańsk

OSTATNIA KATYLINARKA

THE LAST CATILINARIAN

Streszczenie: Opowiadanie na podstawie Salustiusza, w którym wojna z Katyliną jest przedstawiona z punktu widzenia Fulwii, służącej Cynceronowi donosicielki w obozie Katyliny.

Słowa kluczowe: pisarstwo historyczne; schyłek republiki rzymskiej; Katylina; Salustiusz; Fulwia

Summary: A short story, based on Sallust, retelling the war of Catiline from the perspective of Fulvia, Cicero's informer in Catiline's camp.

Keywords: historical fiction; late Roman Republic; Catiline; Cicero; Sallust; Fulvia



Ten utwór jest dostępny na warunkach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 4.0 Międzynarodowe (CC BY 4.0), która umożliwia nieograniczone korzystanie, rozpowszechnianie i kopiowanie utworu pod warunkiem odpowiedniego oznaczenia autora i źródła. Zob. <https://creativecommons.org/licenses/by/4.0/deed.pl>

I Rzym

Od Fulwii do Marka Tulliusza Cicerona

Przede wszystkim, Tulliuszu, chciałam ci pogratulować pięknego konsulatu. Jestem przekonana, że będzie pamiętany przez wiele pokoleń i zostanie szeroko opisany w pracach historyków. Rozbicie sprzysiężenia Katyliny zdobi go jak klejnot koronę – wspaniale się spisał i słusznie tytułują cię „Ojcem Ojczyzny”. Bez ciebie Wieczne Miasto mogłoby już nie istnieć.

Ogromnie żałuję, że – jak się wydaje – zapomniałeś, po czyich ramionach wspiąłeś się na te wyżyny kariery. Pozwól więc, że ci przypomnę: kiedy zacząłeś kandydować na stanowisko konsula, śmiano się z ciebie. Nikt cię nie znał, nie mogłeś pochwalić się znamenitym rodem ani dokonaniami. A potem opinia publiczna dowiedziała się o Katylinie – i jak jeden mąż wszyscy zwrócili się do ciebie. Pamiętasz jeszcze, kto ci doniósł o spisku?

Ja.

Bez mojej pomocy byłbyś nikim, Tulliuszu. Nigdy nie ocaliłbyś Rzeczypospolitej. W najlepszym razie leżałbyś martwy, zgładzony przez zdradzieckich patrycjuszy, postawionych przed wyborem między łatwym wzbogaceniem się a przyszłością Rzymu.

*

Z okna rozciągał się widok na prostą, szeroką drogę, wiodącą wprost do bram miasta. Mokre kamienie połyskiwały w świetle księżyca, który wyciągał z drzew i kamienia głębokie cienie. Kładły się czernią na ziemi, płożyły po ogrodzeniach, spływały wreszcie oknami do wnętrza mieszkań, w których spali porządni obywatele.

Fulwia nie spała. Przycupnąwszy przy oknie, wpatrywała się w ciemne niebo w nadziei, że ujrzy nieprzeniknione, ołowiane chmury. Księżyc nie był jej miły. Nie dziś, kiedy Kwintus Kuriusz wracał z narady u Lucjusza Sergiusza Katyliny.

Chwilami zastanawiała się, czy gdyby nie ona, dołączyłby do tego człowieka – szaleńca opętanego myślą o zagładzie Rzeczypospolitej. Do pewnego stopnia przecież zrobił to ze względu na nią: żeby móc obdarowywać ją egzotycznymi tkaninami i misternie oprawionymi klejnotami. Wreszcie – żeby móc pić bez umiaru, a potem szaleć. Dotykać ją tam, gdzie na trzeźwo nigdy by się nie odważył, tańczyć z nią w świetle księżyca i obdarzać długimi pocałunkami.

Fulwia zamrugnęła, dostrzegłszy na tle nocnego nieba pochyloną sylwetkę na koniu. Kwintus zbliżał się szybko, jakby gonili go sami bogowie Hadesu. Minąwszy mozaikę

cieni w sadzie, zeskoczył z wierzchowca, nim jeszcze Ninian, niewolnik galijski, zdążył pochwycić wodze. Następnie otulając się mocniej płaszczem przemknął przez podwórze i już wkrótce Fulwia usłyszała zgrzyt drzwi wejściowych.

– Co nowego? – zapytała, podnosząc się ze stołka, kiedy Kwintus wpadł do pokoju. Jego szata pozostawała w nieładzie, a twarz nosiła oznaki zmęczenia – pod oczami widniały sińce, policzki były zapadnięte, włosy rozwiane od szybkiej jazdy. Schludny, bez troski zazwyczaj Kuriusz wyglądał jak cień samego siebie.

– Wina – sapnął, ciężko siadając przy stole.

Fulwia, nie wdając się w zbędne dyskusje, przeszła do kuchni.

Jeszcze do niedawna mieli grecką niewolnicę, która zajmowała się gotowaniem, teraz jednak kuchnia i piwniczka pozostawały bez pieczy. Wierzyście Kwintusa odmówili dalszego wsparcia, nim ten nie spłaci swoich długów, a on nie zamierzał wydawać ostatnich pieniędzy na takie drobiazgi, kiedy mógł obdarować Fulwię kolejnym pierścieniem albo purpurowym himationem prosto z Fenicji, delikatnym jak mgła.

Przyniósłszy dwa kielichy, napełniła jeden z nich i podała Kwintusowi, który właśnie układał się na sofie. Z ciężkim westchnieniem wziął go do rąk, po czym opróżnił kilkoma potężnymi haustami.

– Nie uwierzysz, co się stało – zaczął w końcu, podając Fulwii kielich, by dołąła wina. – Katylin... Nie masz pojęcia, jaki on jest – Kuriusz zdawał się nieobecny myślami, kiedy zaczął mówić o Lucjuszu Sergiuszu. Wbił niewidzące spojrzenie w sufit i nawet nie zwrócił uwagi, kiedy do jego dłoni trafiło napełnione naczynie. – Wiesz, on wierzy w to wszystko. Chce nas wyciągnąć z dna.

Fulwia przytaknęła bez przekonania i przycupnęła na powrót przy oknie.

– Mówi, że obecny porządek rzeczy musi się skończyć. Że trzeba zlikwidować konsulów i wyznaczyć nową władzę, która będzie dbała o biedniejszych. Bo jeśli my się tym nie zajmujemy, to nikt o nich... o nas nie pomyśli.

– Nie jesteśmy biedotą. Twój przodek był trzykrotnie konsulem – przypomniała cicho Fulwia, ściskając dłońmi kolana.

– Przodek! – zachnął się Kwintus. – Jakie to ma teraz znaczenie? Potrzebujemy pieniędzy, a nie zapomnianej sławy. Cynceron ani Antoniusz nam tego nie dadzą. Za to Katylin – owszem.

Kobieta posłała swojemu kochankowi długie, pytające spojrzenie, ale on i tak nie patrzył w jej kierunku. Po chwili podjął:

– Spójrz na nas: jesteśmy wolnymi obywatelami Rzeczypospolitej, a żyjemy jak niewolnicy. Rządzi nami garstka oligarchów, którzy w ogóle się z nami nie liczą. Nie zasłużyliśmy na taki los, Fulwio. Nie jesteśmy podbitymi barbarzyńcami, żeby płacić haracz tym uzurpatorom. Jesteśmy obywatelami i żołnierzami. Potrafimy upomnieć się o swoje prawa!

– Wszczynając wojnę?

– Nie będzie wojny – odparł z przekonaniem Kuriusz. – Wystarczy usunąć kilku wrogów wolności. Takich, którzy pływają się w nienależnych im bogactwach. Którzy trwonią pieniądze na kolejne domy, rzeźby, obrazy, podczas gdy porządni obywatele cierpią nędzę!

– „Usunąć”? – zdziwiła się Fulwia.

– O nic się nie martw – oznajmił z nagłym uśmiechem Kwintus. – Chodźmy do łóżka, późno już.

Leżała w pograżonej w ciemności sypialni. Chmury przesłoniły księżyc i znów zapowiadało się na deszcz. Nawet pies na podwórzu przestał ujadać.

„Oby nie było burzy” – pomyślała Fulwia, rzucając z troskane spojrzenie w stronę okna, za którym czerniła się w mroku sylwetka psiej budy. Agre panicznie bała się piorunów. Kobieta często w razie potrzeby zarzucała na siebie ciepły płaszcz i wybiegała do zwierzęcia, by przez resztę nocy uspokajać sukę, głaskać ją i tłumaczyć spokojnym głosem, że nie ma się czego obawiać. Ale dziś nie czuła się na siłach.

Próbowała zasnąć. Wsłuchiwała się w miarowy oddech Kwintusa i chciała spać tak jak on: twardo, długo i niczym się nie przejmując. Wydawał się taki przekonany o słuszności tego, co planował ten cały Katylin. A co tak naprawdę wiedział o tym człowieku? Przecież piękne słowa to nie wszystko. Fulwia nie potrafiła podzielić zaufania Kuriusza.

„Usunąć wrogów wolności” – tak powiedział. Naprawdę z taką beztroską mówił o mordstwie?... Fulwia nie mogła pogodzić się z myślą, że będzie kochanką zabójcy. Lubiła luksus i kosztowności, ale nie była gotowa płacić za nie takiej ceny.

Raz jeszcze zerknęła na śpiącego Kwintusa, po czym usiadła na łóżku. W oddali zabrzmiał pierwszy pomruk nadchodzącej burzy.

„Tym lepiej” – przemknęło przez myśl Fulwii. Jeśli się obudzi i zobaczy, że nie ma jej w łóżku, będzie myślał, że znów poszła do psa. Nie zacznie jej szukać.

Pospieszenie zasznurowała sandały i przywdziała stół, po czym narzuciwszy na ramiona płaszcz wybiegła z domu.

Ulice były puste. Nawet pijaków i prostytutki nadchodząca burza skłoniła do pochowania się w ich norach. Kamienice śledziły czujnym spojrzeniem czarnych okien mijającą je kobietę. Kiedy pierwsze krople deszczu zabębniły o dachy, Fulwia poczuła, że jest na świecie zupełnie sama: tylko ona i czająca się w mroku zbrodnia. I nikogo, kto by zrozumiał, dlaczego przemyka jak przestępczyni, modląc się, by nikt jej nie zauważył i nie doniósł Kwintusowi, co właśnie robi.

Pospieszenie załomotała do drzwi. Gdy po chwili uchylił je niewolnik, z tyłu ukazała się szczupła twarz o przenikliwym, surowym spojrzeniu.

– Jesteś Marek Tulliusz Cynceron? – wydyszała przemoknięta Fulwia. Odpowiedziało jej zmarszczone czoło i powolne skinienie głową. – Mam ci coś do powiedzenia.

II Arpi

Może myślisz sobie, że to było dla mnie łatwe. Że tak po prostu uznałam: bezpieczeństwo ojczyzny i Cyncerona jest ważniejsze od mojego Kwintusa i jego dążeń. Wyobraź sobie więc, że nie. Wcale tak nie myślałam. Właściwie w ogóle chyba nie myślałam. Miałam tylko przeczucie, że zabijanie człowieka, żeby się wzbogacić, nie jest słuszne.

Może to oznacza, że jestem złą kobietą. Wszak byłeś mi obcy – i obcy pozostałeś. Powinnam pozostać lojalna wobec Kwintusa.

Po pierwszej wizycie u ciebie każdą noc przepełniał strach i wątpliwości. Strach o własne życie, bo przecież ktoś mógł mnie zobaczyć i donieść nawet samemu Katylinie.

Nie zdołałabym się wtedy ukryć przed jego zemstą. I wątpliwości, czy bogowie pochwalają to, co zrobiłam.

Tobie wydawało się to oczywiste. Oczekiwałeś, że teraz już będę cię na bieżąco informować o wszystkim. Próbowалам czerpać od ciebie tę pewność siebie, ale nigdy do końca nie potrafiłam. A później zaczęły się aresztowania. Myśl o mnie, co chcesz, ale to ja ostrzegłam Cepariusza. Byłam przerażona i nie miałam pojęcia, po czyjej stronie stanąć.

*

Fulwia stała na końcu Drogi Świętej i wypatrywała pochodu razem z tłumem legionistów. Lentulus, byłego pretora, przez wzgląd na stanowisko prowadził sam Cyceron. Pozostawionym pojmanym spiskowcom towarzyszyła mniej znamienita eskorta. Już wkrótce zza zakrętu wyłonili się żołnierze, a za nimi – Cetegus, Statyliusz i Gabinius, zubożali patrycjusze, którzy nigdy nie pogodzili się z tym, że długi kiedyś trzeba spłacić. Gapię nie wiwatowali – wpatrywali się w jeńców z mieszanką trwogi i zafascynowania, a w wielu głowach kłuło się pytanie, jak teraz wyglądałby Rzym, gdyby nie schwytano tych mężczyzn. Czy ulice miasta spływałyby krwią? Katon i Cyceron twierdzili, że tak. Fulwia z ulgą spostrzegła, że wśród pojmanych nie ma Cepariusza. To oznaczało, że zdążył. Że przynajmniej jednego z dawnych przyjaciół nie zdradziła.

Cepariusz nie oglądał się za siebie. Tętent końskich kopyt niósł się po bruku Drogi Appijskiej, kiedy mężczyzna przemyczał między ostatnimi zabudowaniami i kierował się w stronę Apulii.

– Wezwą cię nad ranem – szepnęła Fulwia, mijając go w atrium u Katyliny. Mógł to oczywiście zignorować. Kochanka Kwintusa Kuriusza nie była nikim szczególnym. Kiedyś się przyjaźnili, ale to były dawne dzieje. Skąd miałaby wiedzieć, co przedsięwziął ten przeklęty konsul? A jednak przechadzanie się po ogrodzie przestało sprawiać mu satysfakcję, a prostytutki sprowadzone przez Lekę stały się odpychające. Cepariusz zorientował się, że zdjął go paniczny lęk. Nie potrafił dłużej wysiedzieć na uczcie. Przeprosił grzecznie i wymknął się, nim ktokolwiek zdążył go zapytać, co się stało.

Teraz pędził szeroką drogą, nie przyciągając uwagi rzadko spotykanych podróżnych. Być może Fulwia się myliła. Być może zmyślała. Ale on nie zamierzał ryzykować. I tak miał się wybrać do Apulii, żeby tam wśród wyzwolenców i weteranów zebrać oddział skłonny walczyć u boku Katyliny. Równie dobrze mógł wyruszyć właśnie teraz.

Dotarłszy do gospody w Arpi, Cepariusz zeskoczył z konia i wręczył wodze starcowi, który doń podszedł. Sam Rzymianin jednak nie zamierzał zatrzymywać się na popas. Zostawiwszy wierzchowca pod opieką stajennego, poprawił tunikę i przebiegł przez centralny plac.

Apulia w niczym nie przypominała Rzymu. Tutejsze miasta były małe, spętane ciasnym pierścieniem murów, jakby przyczajone. Niska zabudowa pozwalała daleko sięgać wzrokiem – aż na rozliczne pastwiska, gdzie stada koni skubały trawę. Odziani w proste szaty mieszkańcy Arpi przyglądali się Cepariuszowi, gdy ten dobiegł do jednego z domostw i zabębnił pięścią w drzwi.

– Któż to? – odezwał się z głębi domu schrypnięty głos obco brzmiącą łaciną, gdy niewolnik wprowadził gościa za drzwi.

– Nazywam się Marek Cepariusz. Chcę rozmawiać z Flawiuszem Stratonem – sapnął przybysz.

– Rzymianin?... Tutaj? Dlaczego chcecie z nim rozmawiać, panie?

– Przysłała mnie Lucjusz Sergiusz Katyliną w sprawie najwyższej wagi. Zaufaj mi, panie. Mamy wiele do zaoferowania.

Na dany mu znak niewolnik poprowadził Cepariusza w głąb domu.

Wnętrze domostwa sprawiało wrażenie, jakby próbowało jednocześnie upodobnić się do rzymskiej willi i zachować wierność własnym korzeniom. Poblask zachodzącego słońca wpadał na dziedziniec przez compluvium, dając nieco światła wypielęgowanym roślinom, tworzącym ogród. Smukłe, jońskie kolumny biegły wzdłuż wszystkich ścian, a za nimi, spowite w cieniu, znajdowały się drzwi do kolejnych pomieszczeń. Szarość schyłku dnia nie pozwalała również nacieszyć oczu malowidłami, które pokrywały ściany. Jedyne w okolicach impluvium Cepariusz dostrzegł połyskującą mozaikę.

– Proszę, usiądź – powiedział właściciel domu, wskazując gościowi taboret skryty częściowo w listowiu figowca.

Teraz dopiero Rzymianin mógł przyjrzeć się gospodarzowi: jegomość wyraźnie najlepsze lata miał za sobą – starzał się na uboczu, pielęgnował ogród i przybierał na wadze. Starannie przycięta, siwa broda osłaniała blizny na policzkach. W oczach tliła się głęboko skrywana pasja i tęsknota za dawnymi dokonaniem.

– Jesteś weteranem Sulli, prawda? – zapytał Cepariusz, splatając dłonie na kolanach. Straton skinął głową.

– Ilu was tu jest? – kontynuował gość.

– Coraz mniej – Gospodarz wzruszył ramionami i odwrócił się w stronę basenu. W gładkim lustrze wody odbijała się szarość zmierzchu. – Czego od nas chcesz?

– Działania – Cepariusz wstał i położył dłoń na ramieniu Stratona. – Rzym znów walczy o to, za co zginął Sulla. Potrzebujemy tylu ludzi, ilu to możliwe. Na pewno macie gdzieś broń. Nie wierzę, że ten ogród to wszystko, dla czego teraz żyjesz. Wróć ze mną do Rzymu, Stratonie!

Gospodarz w pierwszej chwili zdawał się nieco zaskoczony, zaraz jednak z łagodnym uśmiechem zsunął zaciskającą się dłoń Cepariusza z własnego ramienia, po czym chrząknął i skinął głową.

– Zastanawialiście się, dlaczego Sulla się wycofał? – zapytał po chwili milczenia.

– Stał się słaby. Chory. Nam to nie grozi.

– A kto zapewni wam siłę? Katyliną? – ostatnie słowo Straton niemal wypuścił.

– Tak. Katyliną wierzy w sprawę. Tym razem się uda.

Gospodarz znów pokiwał głową. Posłał Cepariuszowi długie, badawcze spojrzenie, a w końcu odparł:

– Dobrze. Potrzebuję jednego dnia na zwołanie ludzi. Wyruszymy pojutrze.

Następnej nocy do domu Stratona wtargnęło sześciu legionistów. Aresztowanie nie trwało długo – Cepariusz niczego się nie spodziewał, wyrwano go prosto z łóżka. Nie stawiał oporu.

Fulwia nie przyszła na egzekucję.

III Pistoria

Byłeś bardzo dumny ze stracenia całej piątki. Nie sądziłeś, że to może być błąd, prawda? A co myślisz teraz, kiedy dopadła cię sprawiedliwość? Powiedz, jak to jest: z dala od Rzymu, na wygnaniu, tylko ty i wspomnienia twoich wielkich dokonań?

Dla mnie w każdym razie to oznaczało koniec: koniec naszej współpracy, koniec mojego udziału w tym wszystkim. Nie chciałam więcej słyszeć ani o tobie, ani o Katylinie. Widziałam zresztą, że Kwintusa też zdjął strach. Chyba niewielu z nich zdawało sobie sprawę, do czego może doprowadzić cały ten spisek. Kwintus chciał tylko pieniędzy. Wydawało mu się, że to zabawa. Kiedy padły pierwsze ofiary, opamiętał się.

Wybrałam ten moment, żeby się przyznać. Myślałam, że razem wyjedziemy. Zaszyjemy się gdzieś na wsi i przeczekamy.

Nie doceniłam go. Nie był skłonny do przebaczenia – mam wrażenie, że moje przyznanie zadziało odwrotnie, niż zamierzałam: popchnęłam go dalej w tym kierunku, mimo że niemal już się wycofał. Kiedy zorientował się, że zdradziła go najbliższa osoba, z którą co noc dzielił łóżko – może po prostu uznał, że nie ma nic do stracenia?

No i była wojna. I była ta okropna bitwa.

Wtedy pierwszy raz zobaczyłam osławionego Lucjusza Sergiusza Katylinę. I kiedy patrzyłam w jego zniszczone, nieruchome oblicze, żałowałam, że nie poznałam go wcześniej. Wszystko pewnie ułożyłoby się inaczej. Może nie lepiej. Może wojna byłaby jeszcze straszniejsza. Ale na pewno byłoby inaczej.

Bądź zdrów, Marku Tulliuszu.

*

– A jak tam twoja Fulwia? – zagadnął starszy Gnejusz, zrównując krok z Kwintusem Kuriuszem. Ten mruknął coś niezrozumiale i poprawił przerzucone przez ramię widły, obciążone ekwipunkiem.

– Pewnie dobrze – odparł wreszcie, widząc, że towarzysz najwyraźniej oczekuje odpowiedzi.

– Została w Rzymie? – podjął tamten. – No to już niedługo się spotkacie. W zupełnie nowej rzeczywistości.

Kwintus nie odzywał się.

Maszerowali drugi dzień. Ostre kamienie wrzynały się w podeszwy, a słońce oślepiało, choć zdawało się wcale nie dawać ciepła. Zabudowania zginęły gdzieś poniżej i już wkrótce wojsko otaczały wyłącznie lesiste szczyty. Jediną muzyką akompaniującą Kuriuszowi były ciężkie oddechy towarzyszy.

Wreszcie gdzieś od przodu przyszedł sygnał postoju. Kwintus z ulgą rzucił na ziemię worek podróżny i usiadł obok.

– Co się dzieje? – zapytał, ocierając pot z czoła.

– Chyba zaraz będziemy ustawiać się w szyku. Przemawia – odparł Gnejusz, który wciąż stał i wyciągał szyję, by lepiej dojrzeć wydarzenia rozgrywające się na przedzie.

– Katyliną?

– Tak. Zdecydowanie przemawia, ludzie wiwatują.

– Co mówi?
– Nie wiem, nie słyszę. Ale chyba się podoba... Zsiadają z koni.
– Katyliną też?
– Też. Tak, idziemy w szyku, wybierają centurionów i najlepszych żołnierzy na pierwszą linię. Chyba niedługo wszystko się rozstrzygnie.
– Na równinie?

Gnejusz skinął głową.

– Już niedaleko – stwierdził, po czym usiadł obok Kwintusa. – Bołą mnie nogi. Szkoda, że nie było jakiegoś dłuższego postoju przed bitwą.

– Co by dał postój? – Kuriusz wzruszył ramionami. – Skończmy to jak najszybciej.

Ledwie zagrały trąby, z naprzeciwka, wąskim przesmykiem między skalnymi szczytami, wyroili się żołnierze: drobne kamienie chrzęściły pod sandałami, sucha roślinność kruszyła się z cichym trzaskiem. W następnej chwili z obu stron równiny dobiegł ostry, nienawistny ryk, a lekkobrojni żołnierze zwarli się w zaciętej walce.

Kwintus uwił się w jednym z pierwszych szeregów. Bardzo szybko stracił z oczu Gnejusza. Widział już tylko surowe oblicza wroga, przecinające powietrze klingi, stalowe słońca na podniesionych tarczach. Wśród brzęku oręża i pokrzykiwań żołnierzy mignęło mu kilka znajomych twarzy, kilka spojrzeń prześlizgnęło się po jego obliczu, by zaraz zniknąć wśród bitewnej zawieruchy. Kuriusz nie miał czasu ich szukać – o mały włos czyjeś ostrze nie werżnęło mu się pod pancerz. Ledwie zdążył odepchnąć cudzy miecz, gdy kątem oka dostrzegł zbliżający się cios tarczą. Uchylił się w ostatniej chwili i przyskoczył z podniesionym gladiusem w kontrataku.

Nagle do walki włączyła się kohorta pretorska – równym marszem wcieli się w rozbite, rozproszone wrogie wojsko, jak gdyby od niechcenia siekąc na lewo i prawo i rozrzucając martwych żołnierzy Katyliny po twardej, udeptanej ziemi. Kwintus w pierwszym odruchu cofnął się, wystarczył mu jednak jeden rzut oka na towarzyszy, by ogarnął go palący wstyd.

Nikt się nie cofał – choć legionieści pretora wyraźnie górowali wyposażeniem i umiejętnościami nad spiskowcami, żaden z ludzi Katyliny nie postąpił w tył. Na ich obliczach malowała się jedynie zajadła wściekłość, niemal obłąkańcza żądza mordu i pasja, z której Kwintus nie zdawał sobie dotąd sprawy.

Krew bryzgnęła mu na twarz, kiedy czyjś gladius, ześlizgnąwszy się po kolczudze, rozciął gardło jednego z żołnierzy Katyliny. Chrapliwy wrzask urwał się gwałtownie. Kwintus odwrócił się w ostatniej chwili, jeszcze moment, a jego hełm rozplątałoby nagle uderzenie. Umknął przed nieprzyjacielskim mieczem i wraził własne ostrze pod pancerz wroga. Kiedy załamały się zębra, oręż z łatwością wbił się głęboko w miękką tkankę, a po chwili z rany buchnęła fontanna krwi i wyszarpniętych wnętrzności.

Czerwona mgła przesłoniła Kuriuszowi widok. Potykając się o ciała ludzi i koni, Rzymianin brnął naprzód, choć powoli zapominał, dlaczego właściwie się tu znalazł. Gdzieś na granicy pola widzenia dostrzegał znajome twarze, ale nie potrafił stwierdzić, czy to oblicza wrogów, czy sojuszników. Wiedział tylko tyle, że tam na przedzie, otoczony przeciwnikami, sieje śmierć Katyliną. I że skoro wszyscy inni potrafili dla niego ginąć i zabijać, on też umie. Bo skoro zaszedł aż tutaj, nie pozostawało mu nic innego, jak tylko rzucić się na samo dno.

Poślizgnął się na nasiąkniętej krwią ziemi i opadł na kolano – zdołał się wesprzeć na jeszcze ciepłych zwłokach, by nie zwalić się całkiem w błoto. Między jednym odparciem ciosu wrogiego miecza a drugim zauważył, że ciało należało do Gnejusza, który najwyraźniej nie miał już wrócić do tego nowego, lepszego Rzymu.

Nagle przenikliwie zimno, które wdarło się Kuriuszowi pod żebra, zaskoczyło go. Oczywiście, wiedział, że to bitwa na śmierć i życie, ale wciąż odsuwał od siebie myśl, że naprawdę tutaj może się wszystko skończyć. Co gorsza, nawet nie zauważył, kto zadał mu cios: legioniści wokół niego uwijali się, młócąc mieczami i tarczami bez opamiętania, deptając sandałami zwłoki, wyrzucając w powietrze fontanny bratniej krwi. Osunął się na rozmięknietą ziemię i umarł całkiem zwyczajnie – po cichu i samotnie, umazany błotem, drżąc z zimna.

Fulwia nie umiała powiedzieć, co ją podkusiło, żeby pojechać w okolice Pistorii. Kwintus Kuriusz nie był jej aż tak bliski, żeby miała faktycznie opłakiwać jego śmierć, okrywając całunem zwłoki. Po prostu czuła, że jest to dłużna – zarówno jemu, jak i wszystkim ludziom Katyliny. Może i samemu Katylinie. Dręczące poczucie winy nie pozwoliłoby jej wysiedzieć w Rzymie.

Wąska polana, na której stoczono bitwę, zewsząd okolona była skalnymi wystęgami i ostrymi turniami. Wysokie drzewa porastały niszczelnie, w których żołnierze mogli próbować uniknąć śmierci. Żwir zgrzytał pod krokami Fulwii, przypominając chrzęst kości. Bliscy poległych żołnierzy uwijali się po polu bitwy, zbierając swoich umarłych i ich mienie. Byli i tacy, którzy koncentrowali się na mieniu, a ciało zostawiali na pożarcie sępom i dzikim psom. Fulwia ledwo poznała w posiniałych, poharatanych zwłokach Kwintusa Kuriusza. Przetarła jego twarz z błota i spojrzała prosto w nieruchome, zmatowiałe oczy, ale nic w nich nie zobaczyła. Ani strachu, ani woli walki. Oblicze mężczyzny pozostawało zupełnie neutralne, jakby zamiast niego walczyła i zginęła kukła.

Kobieta podniosła się z klęczek i poszła dalej – sama nie do końca wiedziała, po co. Czuła, że znalezienie Kwintusa jej nie wystarczy. Podążyła naprzód, gdzie starły się dwie armie, minęła pierwszą linię żołnierzy Katyliny, wstąpiła między ciała poległych obrońców republiki. Niewidzącym spojrzeniem wiodła po okrwawionych, pokawałkowanych zwłokach, przestępowała nad odrąbanymi kończynami, a jej długi płaszcz naciągał od spodu czerwienią, mimo że Fulwia podkasała go niemal do kolan.

I w końcu go znalazła, choć tak naprawdę wcale nie szukała: Lucjusz Sergiusz Katylinina. Widziała go po raz pierwszy. Kwintus Kuriusz zapewne też nigdy nie widział na własne oczy swojego przywódcy.

Zbroja okrywała nadmiernie szczupłe, poznaczone napiętymi węzłami mięśni ciało. Zapadnięte policzki i podkrążone oczy sprawiały wrażenie, jakby Katylinina był martwy od dawna. Wąskie usta zaciśnięte w wyrazie wściekłości odcinały się czerwienią od bladej twarzy. Fulwia czuła, że to nie jest fizjonomia przypadkowego żołnierza, którego wciągnięto w niezrozumiałą wojnę. Oczy Katyliny nawet teraz zdawały się jarzyć wewnętrznym płomieniem, jakby trup spiskowca wciąż wyzywał bogów i rzeczpospolitą.

Może wyzywał? Może śmiał się teraz, widząc, jaką cenę zapłacił Rzym? Może przewidywał wygnanie, na które niebawem będzie musiał się udać przeklęty Cynceron?

Fulwia pospiesznie wróciła do wozów. Przeklinała siebie, Kwintusa Kuriusza, Marka Tulliusza i każdego, kto przyszedł jej do głowy. Przeklinała rzymską Wilczycę, która wciąż nie przestawała gonić własnego ogona.

Argumentum

Narratiuncula de coniuratione Catilinae relationem Sallustianam sequens, sic tamen, ut praesertim tueamur acta Fulviae, quam participem factionis Catilinae delatricem de consiliis eius Cicero assumpserit.